

## 07. Białe rękawiczki

Kiedy kończyłem wyczytywanie tekstów szopki, z czarnego brulionu wypadły nagle na podłogę dwie fotografie z mego okresu harcerskiego i zaczęły krążyć z rąk do rąk wśród kolegów kursantów, aż dosłownie obeszły wszystkich. Fotografie mają to do siebie, że zawsze budzą pewne szczególne zainteresowanie otoczenia - nie możemy się doczekać momentu, kiedy wreszcie dotrą i do nas.



Obiad na obozie w Borowickach. Sylwetka stojącego autora - niestety bez głowy, ale za to w wyjątkowo jasnych spodenkach - widoczna u góry, w środku, na drugim planie. Lato 1945.

Pierwsza z nich, jakkolwiek była dość atrakcyjna, bo przedstawiała ziemny stół na obozie w czasie spożywania obiadu przez moich druhów, to jednak nie wywołała żadnych komentarzy. Wydawała się zwyczajna.

Natomiast wszystkie pytania dotyczyły drugiej fotografii, a w szczególności zaintrygowała moich kolegów elewów przedziwna postać chłopca na środku jezdni, ubranego w czarne, szerokie bryczesy, buty z cholewami i czarny sweterek bez rękawów.



Prowadzę kolumnę harcerzy sierpeckich i plockich ulicą Kolegiálną (Z paskiem pod brodą i w butach z cholewami). Obok mnie pfm. Ryszard Wodzyński - zwany powszechnie „Wodzem”. 1945.

Niestety, akurat na temat tej - jakby nieproporcjonalnej i zagadkowej - postaci, która znacznie przesłaniała maszerującą ze sztandarami kolumnę harcerzy, nie umiałem nic powiedzieć poza tym, że była to postać zupełnie przypadkowa. Natomiast, raz rozbudzone zainteresowanie kolegów zdarzeniem, które przede wszystkim ta fotografia przedstawiała, zmusiło mnie do obszerniejszej opowieści:

Sierpeckie sukcesy „estradowe” mej, 98 Mazowieckiej Drużyny Harcerzy<sup>35</sup> tak mnie rozzuchwaliły, że w czerwcu 1945 roku udałem się do nieznanego mi zupełnie Komendanta Hufca Plockiego, z propozycją zorganizowania naszych występów w tamtejszym teatrze „Przedwiośnie”.

Ówczesny komendant tego hufca, podharc mistrz Ryszard Wodzyński, uznał, że po prostu spadłem mu z nieba. Przyjął mnie

<sup>35</sup> Patrz część I „Meldunków”, opowiadanie pt: „Z numerem 98”.

niezwykle serdecznie i oświadczył, że to znakomita okazja do pobudzenia odradzającego się harcerstwa płockiego. Zaproponował nawet przedłużenie naszej wizyty do dwóch dni, apel obydwu hufców, propagandowy przemarsz przez miasto ze śpiewem i sztandarami - obiecał przy tym zapewnienie noclegu i częściowego wyżywienia. Uzgodniłem datę, salę, sprzedaż biletów, plakaty i inne szczegóły techniczno-organizacyjne. Wracalem więc do domu dumny i pełen zapału do takiego zmobilizowania sił, aby się godnie zaprezentować w prastarym, piastowskim grodzie.

Zaczęły się gorączkowe przygotowania, uzupełnianie mundurów, szlifowanie mego programu „Harcerskie Ognisko”, załatwianie transportu (praktycznie dwóch poniemieckich traktorów z przyczepami) oraz projektowanie plakatów (Druh Genek Girszewski namalował harcerza i ślady stóp wiodące do „Przedwiośnia”). Do wspólnego wyjazdu namówiliśmy doskonałą, szkolną zespół tańca, którym kierowała przemiła i piękna Maria Olszewska.

Ze względu na zbliżające się matury i egzaminy skróconego roku szkolnego, do ostatniego dnia utrzymywaliśmy całą rzecz w tajemnicy przed dyrektorką Gałęską. Byliśmy przekonani, że odmówi zgody. Wg ukartowanego z góry planu, po zgodę do niej udałem się dopiero wtedy, gdy pod szkołą dudniły już przeraźliwie zdezelowane traktory a na przyczepach stała cała drużyna. Na siedząco nie pomieściłbym około 100 osób - na szczęście powojenne przepisy drogowe jeszcze nie regulowały dostatecznie zasad przewozu osób. Wyjazd był już nie do odwołania ze względu na nasze przygotowania i zaawansowanie spraw w Płocku.

Zakończyło się oczywiście wielką awanturą, łzami obydwu „wysoko umawiających się stron” oraz wymuszoną zgodą pryncypalnej, i ogólnie sprzyjającej harcerzom, pani Zofii.

Ruszyliśmy więc rozhułkani, rozśpiewani i pełni wiary w swoje nieograniczone możliwości organizacyjne i artystyczne! Na szczęście pogoda sprzyjała, traktory się nie popsuly i po dwóch godzinach dotoczyliśmy się nad Wisłę. Na miejscu wszystko zgodnie z planem. Hufiec Płocki powitał nas na dziedzińcu swej stancy, były raporty i przemówienia a przede wszystkim była radość ze znalezienia się w tak licznej, braterskiej gromadzie. Następnie, pod moją komendą, długa kolumna ruszyła przez miasto a towarzyszył mi „Wódz”, czyli hufcowy Wodzyński. Za nami maszero-



Przyjaciół, dyrektor Zofia Gałęska (w jasnej sukni po lewej), podczas ogniska drużyny w pobliżu Sierpca. Autor, będący drużynowym, stoi w środku (w jasnych spodenkach). Przy jego prawym ramieniu, przyboczny druh Zdzisław Wroński. Gra druh Witold Rutkowski.

wały poczty sztandarowe oraz harcerki i harcerze z obydwu hufców.

W pierwszej czwórce mojej drużyny znajdowało się dwóch akordeonistów, Jurek Jagodziński i Franek Orzażewski. Bez przerwy grali moją piosenkę, ułożoną niedawno dla macierzystej drużyny. Wiara natomiast śpiewała ją ze wszystkich sił, na fali ambicjonalnych uniesień przybyszów z mniejszego miasta. Żywa i łatwa melodia podchwytywana była omal natychmiast przez harcerzy plockich, co wzmacniało efekt naszej ulicznej parady. Podczas przemarszu część chłopaków rozklejała plakaty druha Genka. Nic przeto dziwnego, że później widownia teatru wypełniła się do ostatniego miejsca i nie mieliśmy żadnych problemów z opłaceniem sali na sobotnie popołudnie oraz niedzielny poranek.

Kiedy, po propagandowej paradzie powróciliśmy na podwórzec stacji, padły odpowiednie komendy i gospodarze oraz goście stanęli w szeregach naprzeciwko siebie. Wówczas każdy druh z Płocka podchodził do stojącego naprzeciw przypadkowego druha z Sierpca i zabierał go do domu. Oznaczało to, oczywiście, nie tylko zapewnienie kwatery! Był to wspaniały gest braterstwa i

serdeczności w pełnych biedy pookupacyjnych warunkach a równocześnie jakże prosty i niedzisiejszy sposób rozwiązania trudnej sprawy kwaterunkowo-aprowizacyjnej dla prawie setki gości. To tylko my, sierpczanie, sądziliśmy, że wydarzenie było spontaniczne. Jak się potem okazało - za całą sprawą stał pomysłowy i odpowiedzialny „Wódz”, który wcześniej uzgodnił wszystko z rodzicami.

W teatrze z kolei zdarzyło się, że - jak nigdy dotąd - będziemy występować pośród doskonałych dekoracji, bo wyjątkowo w remanentach scenicznych znalazły się akurat świeże i pachnące brzoźki, sosny oraz jałowce. Uzupełnione naszym autentycznym, wysłużonym namiotem, totemem i stołem ogniskowym, stworzyły nastrój prawdziwego, harcerskiego obozowiska. Widząc nasz zapał, mechanicy sceny samorzutnie dołączyli z reżyserią światła, co znakomicie wzmacniało atmosferę romantyczności całego przedstawienia.

Osobiście dwoiłem się i troiłem na scenie jako reżyser, wiążący zarazem dowcipnym słowem poszczególne punkty programu, jako członek chóru rewelersów i wreszcie - pod koniec spektaklu - również jako solista. Indywidualnie zaśpiewałem bardzo nastrojową piosenkę, której jedna ze zwrotek brzmiała:

Pamiętam, gdy byłeś harcerzem  
- ileż to w domu było ambarasu,  
gdyś się wybierał na wielką przygodę:  
w daleką podróż do bliskiego lasu...

REFREN:

Koły wtedy troski twe, chłopięce,  
matczyne ręce, matczyne ręce...

Mój solowy śpiew nie był w tym przypadku jakimś popisem wokalnym, lecz został zaaranżowany jako jeden ze zwykłych składników naturalnego u harcerzy ogniska. Zresztą, nikt z nas nie był profesjonalistą. Jednakże, ponieważ na sali sporo było mamus naszych płockich druhów i publiczność uległa naturalnemu w tej scenerii wzruszeniu, zmuszony zostałem do bisowania.

Uczyniłem przy tym błąd, wynikający z braku jeszcze wówczas scenicznego obycia, ponieważ powtórzyłem na bis nie jakiś fragment, lecz całą, kilkuzwrotkową piosenkę. Jak się po naszym wyjeździe okazało, uzyskaliśmy ogólnie pochlebnią recenzję prasową, w tym i ja osobiście, a wyłącznie ten mój nieszczęsny bis nie spodobał się recenzentowi, który przypuszczał, że spowodowała go umyślna klaka niesfornych harcerzy.<sup>36</sup>

Zarówno „Wódz”, jak i pozostali instruktorzy płoccy, gratulowali nam sukcesu a w ślad za tym, zaproponowali wspólny wakacyjny obóz obydwu hufców w Borowiczkach. Tam powierzono mi odpowiedzialną funkcję komendanta jednego z dwu równorzędnych podobozów.

\* \* \*

Z teatru wróciliśmy szczęśliwie do domu na tych samych poniemieckich traktorach i zabraliśmy się do roboty, bo trzeba było zaliczyć sporo kończących rok sprawdzianów. Dla mnie osobiście, jako prowodyra całej wyprawy nad Wisłę, ponowne wejście w łaski dyrektorki, a zarazem znakomitej polonistki, nastąpiło dopiero po pierwszej klasówce z jej przedmiotu.

Mianowicie, pani Zofii zamarzyło się - pośród powojennego schamienia obyczajów i ogólnej biedy - aby na balu kończącym rok szkolny chłopcy wystąpili koniecznie elegancko, czego znamieniem miały być białe rękawiczki. To jej życzenie było wówczas wręcz szokujące i krążyło anegdotycznie wśród uczniów oraz rodziców, bo trzeba zauważyć, że i samo zdobycie białych rękawiczek też nie było łatwe - wiele mam musiało je specjalnie i własnoręcznie uszyć.

Temat klasówki kończącej rok okazał się dla mnie wręcz wymarzony. Każdy z uczniów czwartej klasy miał możliwość puszczania wodzów fantazji i napisania opowiadania na zupełnie dowolny temat. Okazało się, że bez trudu zapisałem około dziesięć stron kancelaryjnego papieru. Wędrowałem gdzieś po Ameryce Południowej, po wyspach Polinezji, po Afryce, Indiach i Australii, śledząc wszędzie zwyczaje, śpiewy i tańce, charaktery-

---

<sup>36</sup> „Harcerze sierpeccy na gościnnych występach w Płocku”. Robotnik Mazowiecki 1945, nr 5.

styczne rośliny i zwierzęta, góry i wulkany, narażając się przy tym wielokrotnie na niebotyczne niebezpieczeństwa i niewygody, aby - na koniec - zwyczajnie wsiąść w samolot, wylądować na łacie pod Sierpcem, założyć białe rękawiczki (!) i stanąć w drzwiach gimnazjalnej sali balowej!

Profesor Gałęska, wychudły gruzlik, wolno i charakterystycznie kołysząca się na nogach, zawsze surowa i oszczędna w ocenach, tym razem była rozbawiona i wydawała się wręcz szczęśliwa z powodu tak nieoczekiwanego wprowadzenia przez krnąbrnego ucznia jej realnych, białych rękawiczek do pełnego dziwów świata, zaistniałego w ostatnim, szkolnym wypracowaniu.

Moje wypracowanie, w anegdotycznej postaci, obiegiło wtedy nie tylko radę pedagogiczną i młodzież, ale także krążyło w środowisku rodziców, bo przecież - poprzez te, omal surrealistyczne w tamtych warunkach, rękawiczki - wkraczało także w obszar ich bieżących emocji.

*Za wspomnianą klasówkę otrzymałem wtedy najwyższą w klasie ocenę. Był to bowiem precedens dowcipnego powiązania fantazji z realną rzeczywistością, który nigdy wcześniej ani później, nie zaistniał w pracy pedagogicznej*



*Zofia Gałęska. Wspaniała polonistka i dyrektor. pani Zofii - tak przynajmniej powiedziała mi po latach, kiedy wraz z dawnymi kolegami szkolnymi odwiedziłem ją w sanatorium, w Dziekanowie Leśnym pod Warszawą.*